

**Bardzo subiektywne wspomnienia
z wycieczki koła nr 8 PTTK przy Politechnice Poznańskiej
do Toskanii w dniach 27.04- 05.05. 2012r.**

Tak się złożyło, że w swoim czasie wpadły mi w ręce, a raczej w oczy, dwie książki o Toskanii: „Tysiąc dni w Toskanii” Marleny de Blasi (w podtytule: „Życie pachnące rozmarynem”) oraz „Wzgórza Toskanii” Ferenca Máté. W obu Toskania jawi się jako jedno z najpiękniejszych zakątków świata: pejzaże „dekorowane” strzelistymi ciemnozielonymi cyprysami, szarymi barwami drzew oliwkowych, niekończącymi się polami zielonych winorośli i złotych łańców słoneczników, czerwonych maków i pachnącej lawendy, wśród których, na pagórkach i w zacisznych dolinkach, przykuwają oko kamienne budowle mieszkalne lub sakralne. A wszystko skąpane w charakterystycznym łagodnym, lekko zamglonym świetle. I ludzie: serdeczni, życzliwi, skłonni do radości i wspólnej zabawy, także do wspólnego biesiadowania. No i te biesiady, opisane tak sugestywnie przez Marlenę de Blasi, że już w trakcie czytania ślinka sama napływa do ust. Do tego perły architektury włoskiej: Florencja, Siena, Piza itp. itd., znane z licznych publikacji i zdjęć bywałych w świecie bliźnich. Toteż kiedy dowiedziałam się o możliwości spojrzenia na te wszystkie wspaniałości własnym okiem decyzja zapadła błyskawicznie. Zaopatrzona w mapę i przewodnik (wprawdzie tylko Pascala, który przeznaczony jest głównie dla turystów indywidualnych, gdyż znaczną jego część zajmują informacje: jak dojechać, gdzie parkować, gdzie spać, co i gdzie zjeść; jeżeli potrzebna jest informacja tylko o zabytkach znacznie przydatniejszy jest zielony przewodnik Michelin) ruszyłam na spotkanie wymarzonej przygody. Pierwsze zauroczenie już w Czeskim Krumlowie i pierwszy żal: czemu nie możemy tu przenocować, aby powłóczyć się nocą po tym średniowiecznym miasteczku zachowanym tak jak go praojcowie zbudowali, posiedzieć nad brzegiem Wełtawy z kieliszeczkiem w dłoni i z widokiem na imponujący zamek a także inne, godne wejrzenia, budowle. Ten żal: czemu tak krótko, czemu tak mało, czemu nie to i czemu nie tamto, będzie mi towarzyszył przez wszystkie dni. Wszędzie chciałoby się pobyc dłużej i dokładniej poznać zarówno obiekty będące w programie jak i te, o których w przewodniku napisano: „to trzeba zobaczyć koniecznie” a z powodów oczywistych zmieścić się w programie sześciodniowym nie mogły. Choć tu bym podyskutowała czy np. zamiast czasu wolnego na tzw. zakupy i inne zajęcia własne nie warto było np. zobaczyć w Lukce dwunastowiecznego kościoła San Ferdiano, trzeciego najważniejszego kościoła tego miasta z XIII-wieczną mozaiką przedstawiającą Chrystusa w Majestacie, XII-wieczną chrzcielnicą, kaplicą św. Augustyna z XVI- wiecznymi freskami i kaplicą z nienaruszonym ciałem św. Zyty – patronki służących czy też np. unikalnego w skali całych Włoch renesansowego kościoła San Biago w Montepulciano? Lojalnie przyznaję, że w tych swoich żalach byłam w grupie dość odosobniona. Podobnie jak w pogłądzie, że na zwiedzanie w ciągu półtorej godziny Gallerii degli Uffizi szkoda było czasu. Lepiej było ten czas poświęcić na dokładniejsze poznanie zabytków miasta, które przecież też tylko liźnęliśmy. Z powodu tych różnych subiektywnych ocen z Florencji wyjechałam nie niosąc w sobie ani obrazu, ani duszy tego niewątpliwie wspaniałego i z niczym nieporównywalnego miasta, w którym pobytu oczywiście nie żałuję. Zostałam jednak z ogromnym niedosytem i każdemu radzić będę: do Florencji albo na dwa dni, albo wcale i nigdy w niedzielę!

Zostały mi natomiast w oczach, sercu i umyśle:

- niezapomniany widok bielejących w słońcu na tle rozległych zielonych trawników: Baptysterium, Katedry i Krzywej Wieży w Pizie;
- Lukka, w której po raz pierwszy poczułam wiew tokańskiego średniowiecza (te uliczki i pałace z wieżami!) i tokańskich klimatów (wystawy sklepików spożywczych

na wąziutkich uliczkach handlowych oraz odbywający się akurat jarmark specjalów tego regionu);

- alabastrowe cuda oglądane długo i wnikliwie (dla przeczekania ulewy) w salonie przy Piazza dei Priori we Volterze (niestety z cenami nie na moją kieszeń);
- freski z kolegiaty w San Gimignano, scenami ze Starego i Nowego Testamentu, zamalowano ściany „od sufitu do podłogi” a zwłaszcza szczegół na fresku Sądu Ostatecznego (przy wejściu do świątyni) przedstawiający diabła wkręcającego spory świder w grzeszną część ciała cudzołżnicy;
- - „perelkę” pt. Monteriggioni, która wprowadziła mnie w zdumienie swoją mikroskopijnością oraz ilością wież zupełnie nieadekwatną do otaczanego przez nie obszaru, tym piękniejszą, że skapaną w słońcu co tego dnia, obfitego w ulewny deszcz, samo w sobie było cudowne;
- Siena z jej uliczkami, pałacami, Piazza del Campo i Katedrą, której wnętrze wprowadziło mnie w oszołomienie (te posadzki!!); Siena jako całość i jej Katedra w mojej subiektywnej ocenie uzyskały pierwsze miejsce na liście tego co widziałam;
- przepiękna kaplica Matki Bożej Pocieszenia (La Cappella della Madonna del Conforto) w Katedrze św. Donata w Arezzo, wprowadziła mój przewodnik jej nie omawia i niewiele o niej wiem ale urzekło mnie oblicze Matki w głównym ołtarzu, całkiem odmienne od dotychczas oglądanych a zachwyty wzbudziły drzewiczki konfesjonałów z rzeźbami scen biblijnych obrazujących Boże miłosierdzie (np. powrót syna marnotrawnego, Chrystus ratujący tonącego św. Piotra) a nad każdą z tych scen z chmur wylania się Bóg z miną dobrotliwego staruszka, lekko skośnymi oczami i długimi włosami sterczącymi ku górze jak gdyby porywanymi przez wiatr (niestety dla mojego aparatu było za ciemno i nie mam tego cudaczka w swoim folderze zdjęciowym).

Listę zachwyty mogłabym oczywiście ciągnąć długo. 660 zdjęć w moim aparacie (a nie udawały mi się zdjęcia wewnątrz kościołów - byłoby pewnie drugie 600) jest najlepszym dowodem na to, że liczba cudności, które zobaczyliśmy była ogromna. Jeżeli do tego dodać wspaniałe widoki roztaczające się z okien autobusu (zajmowane w autobusie miejsce, choć niewygodne dla nóg to jednak najlepsze widokowo) oraz z murów obronnych tokańskich miasteczek i towarzyszące nam zapierające dech w piersiach widoki z mijanych Alp i Apeninów złożyły się na całość wspomnień, które długo będą mi towarzyszyły i do których będę wracała..

Natomiast jak najszybciej będę chciała zapomnieć o pensjonacie Villa Verde w Chianciano Terme, które chyba wszystkim, zarówno w części noclegowej jak i jadalnej, nieodparcie kojarzyło się z domami FWP z czasów późnego Gomułki.

I jeszcze jedno rozczarowanie, nieduże, ale jednak: jedzenie. Rozczytana w opisach „kulinarnych posiadów” w książce Marleny de Blasi nie spodziewałam się wprowadzić na stole kaczki duszonej z gruszkami w moscato, wieprzowiny o smaku dziczyzny duszonej w czerwonym winie, kiełbasek winiarza zapiekanych z winogronami, dań z grzybów funghi a tym bardziej z truflి ani kwiatów cukinii smażonych w delikatnym cieście naleśnikowym. Miałam jednak nadzieję na posmakowanie tokańskiego chleba,- *schacciata toscana* i *bruschetty* (tę ostatnią podano na przystawkę w pensjonacie Prati w Montecatini Terme, gdzie w ogóle żywiono nas ciekawiej niż potem w tym nieszczęsnym Villa Verde oraz w czasie degustacji w Cantina Pulciano ale też w ilości symbolicznej) oraz na degustację tokańskich sałat z rukoli, pomidorów, oliwek, pachnących bazylią, rozmarynem, oliwami o najróżniejszych smakach. Odrobinę tego w najprostszym wydaniu skosztowaliśmy w Prati. Potem już zero tokańskich smaków. Uważano zapewne, że skoro jesteśmy z Polski to schab jest tym co jemy najchętniej i serwowano nam go niemal codziennie – bez polskiej kapusty ale i bez tokańskiej sałaty. Proszę tych wynurzeń nie traktować jako wybrzydzenie. Raczej

ubawiło nas setnie, że nawet w Tarvisio, na ostatniej kolacji, mimo unoszącego się zapachu smażonej ryby, który to zapach wzbudził w nas nadzieję na odmienność posiłku, otrzymaliśmy na stół oczywiście makaron ze sosem pomidorowym i duszony schab w sosie pieczeniowym. Gwoli sprawiedliwości stwierdzić należy, że każda kolacja kończyła się smakowitym deserem. A hotelik w Tarvisio był na 5+.

Nasycona wieprzowiną i frytkami bądź obsmażanymi ziemniakami, po powrocie do domu zrobiłam włoskie spotkanie dla rodziny, na którym podałam (wszystkie dania ze znajdujących się w domu kuchni tokańskiej):

- ✚ bruschettę,
- ✚ penne rigato z amatrice posypane serem pecorino,
- ✚ kurczaka nadziewanego szpinakiem z ricottą (polecam nawet tym, którzy nie lubią szpinaku),
- ✚ sałatkę tokańską z rukoli, pomidorów, papryczki peperoni, oliwek, bazylii i nasączonych winem chianti grzaneczek,
- ✚ orzechowe parfait (bardzo syte na bazie serka mascarpone) i ciasteczka pasgqualini ai canditi (bardzo pyszne). Wszystko oczywiście wyprodukowane własnoręcznie.

Zapiliśmy to wszystko Chianti nabytym za 8 euro w Cortonie (dobre!), białym winem Chiarello delle „Crecte” znanego z degustacji w Cantine Pulcino (też za 8?) oraz czerwonym Montepulciano nabytym w Selgrosie chyba za 32 złote.

Nasz miły, bardzo kompetentny cicerone - pani Hania z Biura Podróży Akademia Wojażer - na pożegnanie powiedziała, że ten wyjazd miał nas zachęcić do indywidualnego, niespiesznego poznawania Toskanii, tak jak to od lat czynią np. pani Anna Maria Goławska i pan Grzegorz Lindenberg. (tym, którzy nie znają polecam ich książkę „Toskania Umbria i okolice - przewodnik subiektywny” – świetna lektura). No ale na takie poznawanie Toskanii niestety nie mam warunków. Tym bardziej cenię sobie, że mogłam choć trochę „doświadczyć” rzeczywiście wspaniałej Toskanii, poznać jej historię i zabytki i to w milej kompanii, która w znacznym stopniu wpływa na jakość późniejszych wspomnień.

Alina B. seniorka

(nie mylić z Aliną B. juniorką, której należą się osobne podziękowania za dostarczanie nam przed i w czasie podróży materiałów wzbogacających wiedzę o zwiedzanych miastach i zabytkach)